

Doktor filozofii na prowincji

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

DOKTÓR FILOZOFII NA PROWINCJI

Bolesław Prus

Pan Diogenes Fajtaszko, w nielicznym, lecz wyborowem kółku zaufanych przyjaciół zwany pospolicie Dynciem albo Fajtusiem, cały ranek spędził na melancholicznym rozpatrywaniu swoich długich i cienkich kończyn dolnych. Na gorycz dzisiejszego usposobienia wpłynął niepomiarnie sen. Śniło mu się bowiem, że skutkiem wczorajszej kolacji dostał trychin, że skutkiem trychin, z przepisu pewnego młodego lekarza — imieniem Kocia, musiał wypić cały gąsior nieoczyszczonej nafty, i że wreszcie, skutkiem obu powyżej zacytowanych przyczyn, on, pan Diogenes Fajtaszko, chluba powiatu i najdzielniejsza z prowincjonalnych podpór literatury krajowej, musiał się przenieść, a raczej został przeniesionym, z wygniecionych wprawdzie, lecz dość jeszcze miękkich materaców, na twarde i brudny stół sekcyjny miejscowego lekarskiego urzędu.

Brrr!... co za myśl!...

Pan Diogenes był człowiekiem zbyt liberalnym, aby wierzyć w sny; na nieszczęście, wierzył w swój własny system filozoficzny, na dnie którego między innymi leżał pewnik, że idea (substancja milion razy delikatniejsza od wodoru) może pod wpływem silnej woli skryzalizować się w fakt zewnętrzny lub wewnętrzny. I tak: pan Diogenes jako żywo nigdy nie był w Berlinie; ponieważ jednak od kilkunastu lat pielęgnował ideę bytności swojej w Berlinie, ostatecznie więc skryzalizował ją w sobie tak, że o ulicach, pałacach i placach, a nadewszystko o uniwersytecie berlińskim, rozprawiał jak o rzeczach własnymi oczami widzianych i własnymi rękami dotykanych. Wiedząc o tem, pan Diogenes sprawiedliwie mógł się obawiać, aby jego, dość zresztą nieokreślone idee o trychinach nie skryzalizowały się w prawdziwe trychiny, albo jakiś inny tak dla jego osoby, jak i dla ogółu niepomyślny wypadek.

Ponure, od paru godzin trwające rozmyślenia Diogenesa już to o pasorzytach wogóle, a o wnętrzakach w szczególności, już to o szkodliwym wpływie tych ostatnich na pewne indywidua bezpośrednio, a na przebieg dziejów powszechnych pośrednio, przerwane zostały niecierpliwem lecz pełnem uszanowania pukaniem do drzwi, które na okrzyk Dyncia: Entrez! otworzyły się, odsłaniając drobną, lecz od stóp do głów elegancką postać pana Kajetana Dryndulskiego.

— Pozdrowienie, uszanowanie, powitanie! — paplał przybyły. — Ach, och! jaki śpioch!... (od wschodu słońca jestem w poetycznym usposobieniu). Jedenasta bieży, a on jeszcze leży... (zawsze mam pełne usta wierszy!) Pewnie wczoraj długo pracowaliśmy, a dziś zaspaliśmy. (Ta łatwość wierszowania niekiedy mnie samego kłopotce). Ja tymczasem od rana, zbieram nowiny dla pana i takie ich mnóstwo mam, że ledwie oddycham... („Tygodnik" mówi, że nie jestem poetą... cha!...).

Mówiąc to, przybyły szastał się po całym pokoju, jakby podłoga szpilkami była najeżona i kręcił tułowiem tak, jakby mu kto za aksamitną marynarkę rozpalonych węgli nasypał. Tymczasem poważny Diogenes, trzymając się obu rękami za poręcz łóżka, na wytartym dywaniku oparł piętę lewej nogi i bezmyślnie przypatrywał się jej wyschląm palcom.

Frygowaty Dryndulski wciąż paplał:

— Jak ptaszek dziś zerwałem się, zimną wodą oblałem się, i niezwłocznie na miasto się wybrałem, bo dziwne jakieś przeczucia miałem...

— Tak samo i ja!... — przerwał półgłosem Fajtuś.

— A co?... — wykrzyknął zachwycony gość. — Piękne umysły się stykają, podobne przeczucia mają (jak mówi francuskie przysłowie). Istotnie wspaniałe są nowiny!... Zgadnij jakie?... mój filozofie jedyny...

— Pewnie trychiny?... — mruknął Dyncio, szybko chowając lewą nogę pod kołdrę.

— Cha! cha!... Nowiny, jedyny, trychiny!... Co za trójwiersz, trójnóg, trójca, trylogia!... Zdumiewająco, zachwycająco!... Miasto nasze robi się poetycznym — w dniu, w którym winno być filozoficznym. Ja wymyślam dwuwiersz, mój przyjaciel tworzy trójwiersz; jeden filozof miejscowy, warszawskich dwóch, razem trzech, — kto w cuda nie wierzy, niech ten zbieg wyjaśni, niech!...

— Nie rozumiem?... — bąknął Fajtuś, podczesując długą czuprynę.

— Jaktó, nie rozumiesz pan? — odparł zaperzony Kajcio, zstępując z hymnu do prostej powieści.

— Wszakże pan jesteś filozofem miejscowym, tutejszym, naszym i jedynym, czy tak?...

Dyncio podczesał brodę, co w przekonaniu gadatliwego poety musiało oznaczać twierdzenie, ciągnął bowiem dalej:

— Pan jesteś filozof jeden, z Warszawy przyjechało dwóch, razem trzech; trójwiersz o trychinach...

— Jakich dwóch z Warszawy?... — zawołał Fajtuś, chwytając się znowu rękami za łóżko.

— No, dwóch Klinowiczów, siostrzeńców starego Federwajsa, kolegów uniwersyteckich Kocia, którzy pisali te sławne traktaty filozoficzne... o czymże to?...

— O stosunku świadomości do bezświadomości?... To pisał tylko jeden z nich, Czesław Klinowicz, doktor filozofji uniwersytetu...

— Wiedeńskiego, paryskiego, berlińskiego et cetera! Otóż obaj stryjeczni bracia, Czesław i Waław Klinowicze, są doktorami tych wszystkich uniwersytetów, a obecnie przyjechali tu, do nas, pod pozorem złożenia wizyty wujowi...

— Skąd pan wiesz o tem?...

— Widziałem ich dziś obu o godzinie dziewiątej rano, w hotelu pod Bykiem... Poszedłem en frak, en biały krawat i en lapisowe rękawiczki (spodnie miałem te same). Pytam garsona: piąty numer śpi? Myje się — odpowiada garson. Pukam we drzwi... Entrez!... Przepraszani, rekomenduję się, zostawiam dwa bilety wizytowe (dla obu panów), wspominam o panu...

— Jakże wyglądają? — pyta wzruszony nieco Dyncio.

— Jeden leżał w łóżku pod popielatą sławucką kołdrą, drugi mył się mydłem glicerynowem...

— Ależ fizjognomje, obejście?...

— Przecież mówię! Ten, który się mył, miał koszulę w czekoladowe paski. Wracając z hotelu kupiłem sobie zaraz trzy takie same u Goldgłasa...

— Ależ co mówili?...

— Ach! co mówili?... To już mój sekret, na wyjawienie którego brak mi czasu, bo muszę się śpieszyć...

— Do czego?... Czy do ubrania się w kolorową koszulę, czy do zawiadomienia miasta o szczęściu, jakie je spotkało?... — spytał ironicznie Dyncio.

— Panie... Sarkazm?! — oburzył się gość.

— Najczystsza prawda! — odparł zirytowany gospodarz. — Każdego z życzliwych panu dotknąć musi naprzód łatwość, z jaką poddajesz się pan nowym wpływom, a powtóre zupełny brak samodzielności...

— Panie!...

— Tak jest, panie! a najlepszym dowodem tego braku samodzielności jest kupno trzech kolorowych koszul, dlatego tylko, że podobną jakiś quasi filozof, jakiś przybłąda nosi... Cha! cha!

cha!...

— Przybłęda?... brak samodzielności?... — wołał oburzony pan Dryndulski, zasadzając z wielką pewnością siebie obie ręce w kieszenie boczne. — Rozumiem!... zazdrościsz pan dwom nowym gwiazdom, które mogą zaćmić jego zasługi...

— Skromne zasługi moje nie zmniejszą się przez to, że pan dziś o dziewiątej biegał do hotelu i że chcesz pan włożyć na siebie kolorową koszulę...

— Racja, że skromne! — przerwał gość. — Jakieś tam trzy korespondencyjki o teatrze amatorskim, pojawieniu się ospy wietrznej u dzieci i...

— Mniejsza o ich treść, panie Dryndulski! W każdym razie nie odrzucono mi ich, jak się to panu trafia raz na tydzień.

— Przybłędy!... brak samodzielności!... Żegnaj pan Diogenesa Fajtaszkę!... — rzekł elegancki gość i protekcjonalnie kiwnął głową gospodarzowi.

— Kolorowe koszule!... wizyta o dziewiątej rano en frak!... Żegnani pania Kajetana Dryndulskiego!... — wycedził gospodarz i majestatycznie ukazał drzwi gościowi.

Takim sposobem pękł gordyjski węzeł dozgonnej przyjaźni, która przez tyle lat łączyła dwu najznakomitszych ludzi w powiecie. Złowrogi sen Diogenesa urzeczywistnił się!

Każdy nieuprzedzony człowiek, na pierwszy rzut oka ucałować musiał głęboką sympatią i cześć dla osoby Diogenesa Fajtaszko. Czarny ubiór oznaczał duszę, chętnie przebywającą w cieniach łagodnej melancholji; złote spinki u koszuli dowodziły niezależnego bytu; ostro zakończona i starannie utrzymywana bródka, przekonywała o samodzielności zdania tak, jak wielka ilość pierzy w głowie zdradzała niepospolity umysł.

Co robił pan Diogenes w cichym, powiatowym zakątku? Dla ludzi zmaterializowanych — nic; lecz dla tych, którzy głębiej spoglądać umieli na rzeczy, szczupły ten, w średnim wieku, z pochyloną głową mężczyzna był apostołem nowych idei, pionierem cywilizacyjnego pochod. Tak swoje stanowisko określał on sam, dodając, że dwie tylko ma ambicje: uzupełnić, wypróbować i światu w spuściźnie pozostawić własny system filozoficzny, i — w półdzikiej okolicy (na którą rzucił go los nieubłagany), przygotować pewną liczbę ludzi inteligencji i serca.

Z czego się utrzymywał pan Diogenes? Pytanie podobne byłoby największą obelgą dla niego. Jako, on, on, który dwadzieścia cztery godzin na dobę żył w świetle idei, miałby się zniżyć do poziomych trosk o chleb powszedni, do odpowiedzi na podobnie krzywdzące pytania? Jadał — bo jeść potrzebował; mieszkał — bo nie mógł nie mieszkać; ponosił drobne wydatki — bo nie mógł ich nie ponosić; wszystko to jednak czynił nie dla zasady, ale przypadkowo i wbrew własnej woli, ulegając raczej tkliwym prośbom Hildegardy, duszy wzniosłej i bezinteresownej, od lokalu której drzwi tylko oddzielały skromny jego pokój.

Natury poziome, grubiańskie i egoistyczne nie mogły pojąć tego stosunku jaźni pokrewnych, że nie powiem siostrzanych, i szeroko rozprawiły o drzwiach, owych drzwiach, które przez kilka lat zrzędu (na wieki wstyd plotkarzy), były zastawione dużym stołem, dziś ostatecznie zalepione, a zawsze tak z jednej, jak z drugiej strony starannie na klucz zamykane. Przebąkiwano także, że od czasu zalepienia drzwi sympatja dwu tych doskonałych indywidualności znakomicie osłabła, co jest wierutnym fałszem, ponieważ pan Diogenes ani na jeden dzień nie przestał się stołować, wynajmować mieszkania, a nawet od czasu do czasu zaciągać skromnej pożyczki od pięknej i szlachetnej Hildegardy, w metryce najniewłaściwiej przezwaną Praksedą.

Po wyjściu poetycznego, a więc popędliwego Kajetana, pan Diogenes głęboko się zamyślił i, patrząc na zalepione drzwi, o których wspominaliśmy, szeptał:

— Dwakroć sto tysięcy!... Serce kobiety... Nowy ideał... Gotowa awantura... Przyszłość bez

pieniędzy... Ach! ten Dryndulski plotkarz, ach! ci doktorzy filozofji...

Jakby w odpowiedzi na bezładne marzenia pioniera cywilizacyjnego pochodzenia, rozległo się kołatanie do zalepionych drzwi, po którym jakiś ostry, kobiecy głos zawołał:

— A czy jesteś tam?...

— Jestem, Hilciu! — odpowiedział Diogenes, szybko okręcając się kołdrą i biegnąc ku drzwiom.

— Podobno przyjechało kilku filozofów z Warszawy?

— Bajka, Hilciu, jak cię...

— Słyszałam, że chcą mi złożyć uszanowanie? — Co za plotki! co za niegodziwe plotki!

— Wypada ułatwić im zbliżenie się...

— Hilciu! nie wierz temu — błagał Diogenes, przestępując z nogi na nogę i rozpaczliwie owijając się w kołdrę.

— Pleciesz głupstwa! — odparł niecierpliwie głos. — Wiem przecież, że są dwaj Klinowicze, którzy coś tam pisali o bezświadości...

— Ależ...

— Nie nudź mnie!... Zaprosisz ich dziś na wieczór...

— Ależ

— Niedołęgo!... — wrzasnął głos. — Zaprosisz ich dziś na wieczór i basta, chcę tego!

W odpowiedzi na tak stanowczo sformułowane żądanie, utalentowany Dyncio trzepnął prawą ręką w udo, co wydało trzask, podobny do uderzenia kijem w ścianę, rzucił rozpaczliwie kołdrę na łóżko i szybko ubierać się począł.

Dnia tego powiatowe miasto X., należące do tych, które najpierwej uwierzyły w postęp, emancypację, tunel anglofrancuski, artykuły wstępne „Przeglądu Tygodniowego” i w proszek perski, jako środek antycholeryczny, dnia tego miasto X, trzęsło się. Mówiono sobie pocichu, półgłosem, a nawet zupełnie głośno, że w hotelu „pod Bykiem” stoi mnóstwo doktorów filozofji, którzy przyjechali poznać pana Diogenesa, ucałować paluszki szlachetnej Hildegardzie, uściskać pana Kajetana Dryndulskiego, słowem — złożyć hołd wszystkim miejscowym znakomitościom i, co najważniejsze, z pośród powiatowych piękności wybrać dożgonne towarzyszy życia.

Jak wyżyły za ptactwem, tak zadyszani, lecz zawsze poważni ojcowie rodzin biegali za Żydkami, celem wyciśnięcia z nich niewielkich sumek pieniężnych na cały szereg mających nastąpić zebrań uroczystych. Dbałe o przyszłość córek matki wypytywały się przedewszystkiem o cyfrę przybyłych, a następnie o to, czy proceder doktora filozofji zapewnia dostateczne utrzymanie. A córki?... Córki nie troszczyły się ani o cyfry, ani o procedery, lecz myślały tylko o tem, aby arcykapłanom wiedzy i sterownikom ogólnoludzkiej nawy, ze skarbnicy swych serc i umysłów dziewiczych, przedstawić jak największą ilość fizycznych i duchowych klejnotów.

Hotel „pod Bykiem” był literalnie oblężony. Inteligencja w cylindrach i czapkach, z laskami, parasolami i piórkami do zębów, gapiała się na czcigodny zajazd tak, jakby ściany jego, na podobieństwo szerści klaczy z Mikułowic, posiadały własność wydawania światła. Odczytywano bardzo udatny wiersz pana K. Dryndulskiego, w którym utalentowany ten, lubo mało znany światu pisarz streścił (na podstawie pięćdziesięciu tomów za pięć rs.) swój pogląd na zeszłe, terażniejsze i przyszłe stanowisko filozofji. Kilku ludzi poważniejszych rozprawiało o bezświadości z tak dokładnym zrozumieniem rzeczy, jakby przez całe życie nie wychodzili poza obręb tego interesującego psychicznego stanu. Mniej obeznani z filozofją, poezją i bezświadością mówili o tem, że okna znakomitych podróżnych wychodzą na podwórze, że znajdują się tuż obok rynny do wylewania pomyj i że w jednym z nich wdać lichtarz, w drugim zaś jakieś płócienne efekta formy nader wątpliwej. Entuzjaści chcieli własnymi oczyma zobaczyć lichtarz i płótno, i pod pozorem

niecierpiących zwłoki interesów osobistych, co parę minut wbiegali na podwórze.

Nagle na chodniku, mostku i bruku przedhotelowym zapanowała cisza, potem wybuchł szmer, a potem.. znowu cisza. Chciwe wiedzy zgromadzenie dostrzegło uśmiechniętego lekarza Kocia, któremu (rozumie się z lewej strony) asystował dumny i promieniejący K. Dryndulski, autor wiersza o przyszłości, terażniejszości i t.d. filozofji, ubrany w jedwabny cylinder, biały krawat i filozoficzną koszulę w czekoladowe paski. Jeden z panów, którzy przed chwilą najgruntowniej rozprawiali o bezświadości, wystąpił naprzeciw idącemu, i zwracając się do lekarza Kocia, spytał:

— Cóż, ilu ich jest naprawdę?...

— Klinowiczów dwóch — odparł Kocio.

— Czesław i Wacław — wtrącił K. Dryndulski — pyszne imiona!... talentu, pracy, zasługi znamiona...

— A iluż doktorów filozofji? — przerwał badający.

— Jako ilu?—zdziwił się Kocio. — Jeden tylko Czesław... — Gwiazda pierwszorzędnej wielkości, autor dzieła o bezświadości, co człowieczeństwo na nowe tory pchnie, bo najgłębsze tajemnice duszy sondować śmie! — dorzucił rozrymowany K. Dryndulski, zapinając guzik kolorowej koszuli, która mu się nieustannie odchyłała, ukazując niedyskretnemu oku ponsowy kaftanik.

— Gdzież dziś będziecie?...

— Oni obaj będą dziś na obiedzie u swego wuja Federwajsa...

— I ja wraz z nimi tam, bo Federwajsa znam, znam i szanuję... na honor!

— Wieczorem zaś będziemy wszyscy u Pasternakowskich... — chciał dokończyć Kocio.

— I ja... i ja... będę u Pasterna... kowskich, z których czcigodnym domem łączę się szczerą przyjaźnią ogromem... — przerwał poeta, patrząc z pod oka po zgromadzonych, dla zbadania, jaki też efekt wywarły jego niezrównane improwizacje.

Ale zgromadzeni, zapewne skutkiem sąsiedztwa z hotelem, którego jeden numer od podłogi do sufitu zapełniała zimna analiza, mało zdawali się zważać na piękności dorywczo wypowiedzianych wierszy, a tem mniej podziwiał kolosalną wprawę ich niepospolitego twórcy.

— Teraz zapewne idziecie do nich? — spytał ktoś z mostka.

— Naturalnie!... naturalnie!... — odparł Dryndulski z rozkoszą, wpatrując się w swoje pyszne lakierki. — Każda chwila, spędzona z ludźmi takimi, do najszcześniejszych liczy się na ziemi...

— Kochany Dryndulsiu — szepnął do ucha poecie niejaki Korneli Klarneckiński, najmłodszy z dwunastu Klarneckińskich, którzy od niepamiętnych czasów piastowali niższe powiatowe urzędy — kochany Dryndulsiu, zapoznaj też mnie z tymi panami...

— Chciałeś powiedzieć z doktorem filozofji i jego bratem? — odparł Dryndulsio z godnością, przymrużając oczy.— Dobrze, pomyślimy o tem!

— Drogi Kajciu! — szepnął ktoś inny, ciągnąc zlekka za rękaw poetę — chciałbym się zbliżyć do tych facetów...

— Czy mówisz o doktorze filozofji i jego bracie? — spytał pan Kajetan, przenosząc wargę dolną w okolice nosa. — Nie rękę, ale... spróbujemy!

— Kociu! Kajciu! doktorze! Dryndulsiu! polecam się waszej pamięci! ukłony dla panów doktorów! — wołały miejscowe inteligencje.

— Postaramy się! spróbujemy! zobaczymy! — odpowiadał wszystkim elegancki Dryndulsio, o którym ktoś z osobistych nieprzyjaciół powiedział, że był podobny do osła, objuczonego worem brylantów.

Za chwilę Kocio wraz z nieodstępny poetą (rozumie się po lewej stronie) wszedł do bramy i znikł na schodach, a tłum obecnych, wzdychając lufo pogwizdując, stosownie do usposobienia,

rozproszył się na cztery wiatry.

Naftowa lampka na parterze (przywiązana do szczebla schodów, celem zabezpieczenia jej przeciw konsekwencjom miejscowego pozytywizmu), ligroinowy kinkiet na pierwszym piętrze i dwie stearynowe świece na drugim zalewały potokami jasności trakt do znanego z cnót rodzinnych domu państwa Pasternakowskich.

Na trakcie tym co chwila rozlegał się stukot eleganckich kamaszy reprezentantów rodu jaszczurczego, lub przejmujący aż do szpiku szelest powiewnych sukienek, lub wreszcie majestatyczne, a zarazem ochładzające zataczanie się poważnych mam i cioteczek.

Każdy taki transport towaru, przeznaczonego do wypijania herbaty, wdzięcznego szczebiotania, zapełniania kanap, lub podkręcania wąsików i robienia tysiącznych grzeczności damom, na pierwszym stopniu schodów pierwszego piętra z nieporównanym wdziękiem witał uprzejmy gospodarz, który jednocześnie sprawdzał, czy nie skradziono lampki, czy szkło w kinkiecie nie pękło i czy świece stearynowe palą się według ekonomicznych zasad. Wyściskawszy i wycalowałwszy gości, tudzież zaprowadziwszy potrzebne meljoracje w przyrządach oświetlających, uśmiechnięty gospodarz wbiegał na momencik do kuchni, wymawiał tam cyfrę mającą pewien związek z liczbą przybyłych, a następnie zachęcał do pośpiechu młodą i jędrną kuchareczkę w sposób, nie mający związku ani z oświetleniem, ani z liczbą przybyłych, ani z bezświadomością.

Około ósmej wszystkie miejsca salonu gościnnych Pasternakowskich były zajęte tak dalece, że niektórzy z obecnych musieli podpierać piec i ściany, inni, spacerujący, potykać się o bogaty dywan, a jeszcze inni z utęsknieniem spoglądać na kanapę, szeslong i fotele, jakoby pielęgowali w sercach niegodną ludzi ucywilizowanych myśl upłacowania się na kolanach najpoważniejszych matron. Temperatura z dwunastu podskoczyła do dwudziestu stopni Reaumura; młode i piękne dziewczęta, oplótszy się rączkami, tuląc się jedna do drugiej, szeptały sobie coś do uszek z takimi minami, jakby każda z nich przed przyjaciółką naprawdę odkrywała najgłębsze tajniki serca. Szanowne mamy i opiekunki rzucały od niechcienia okiem na toalety swoich córek i pupilek, lub usiłowały się przekonywać nawzajem, że w dzisiejszych czasach zamążpójście żadnej kariery nie stanowi dla skromnych i dobrze wychowanych pańienek. Młodzież męska nakoniec ziewała półgłosem, rozmyślała nad dowcipami, jakimi należałoby usatysfakcjonować towarzystwo, lub wreszcie dokonywała przeglądu swoich garniturów, baczną, aczkolwiek nie wyłączną uwagę zwracając na guziki.

Wtem... nastąpiła cisza, usłyszano bowiem na schodach tętent... dobrze zbudowanej pokojówki i okrzyk: „Idą!... idą!..”

— Maniu! zaraz będzie herbata — odezwał się w drugim pokoju najmłodszy Pasternakowski, do najmłodszej Pasternakowskiej.

Słowa te spotęgowały ciszę, wśród której usłyszano, naprzód pełne znaczenia stąpanie kilku par nóg, potem elektryzujący chrzęst drzwi, potem denerwujące wycieranie butów o słomiankę, potem...

— Panie (jakże tam?...) Klinowicz, doktor filozofji! członek wielu towarzystw naukowych! współpracownik wielu pism! autor wielu dzieł!... — recytował gospodarz głosem, oznaczającym, jak wysoko ceni zaszczyt, jaki go spotkał.

W tej chwili puls obecnych dosięgnął stu dwudziestu uderzeń na minutę, kilka wrażliwszych i bardziej szanujących naukę osobistości z głębokim wzruszeniem utarło nosy, a pewna stara, najwrażliwsza i najmocniej szanująca naukę dama musiała z wielkim pośpiechem opuścić zebranie, jak to zwykła była czynić przy każdym bardziej uroczystym i podnoszącym duszę momencie towarzyskiego życia.

Na progu sali ukazały się trzy osoby. Pierwszą był pan K. Dryndulski, wymyty, wyfrakowany i

wyperfumowany, jak nigdy; zebrani, biorąc go przez prędkość za doktora filozofji wielu uniwersytetów i członka wielu towarzystw, oddali mu głęboki ukłon.

Drugą osobą był wesoły lekarz Kocio, który zdawał się mieć nader pilny interes do pewnej mocno zarumienionej, panienki. Zebrani, biorąc go przez prędkość za doktora filozofji i członka wielu towarzystw, złożyli mu głęboki ukłon.

Trzecią osobą był pan Czesław Klinowicz, rzeczywisty doktor filozofji wielu uniwersytetów, odziany w zwykły frak, w zwykłą koszulę i w zwykłe rękawiczki. Zebrani, biorąc go przez prędkość za kogoś zupełnie innego, nie złożyli mu ukłonu.

Wynagradzając tę mimowolną niegrzeczność, zebrani skoncentrowali całą swoją światłą uwagę na tę część przestrzeni, którą całkowicie i niepodzielnie wypełniała indywidualność doktora i t.d., członka i t.d., współpracownika i t.d., autora i t.d. Przedewszystkiem, z niemałym podziwieniem dostrzeżono, że tenże doktor, członek i t.d., miał oblicze wcale pyzate i kark bodaj czy nie bernardyński, i że na żadnej części ani swego ciała, ani swego ubioru nie nosił dyplomów, do jakich jego obszerna nauka, niepospolity talent pisarski i inne niemniej rzadkie a cenne przymioty niewątpliwe nadawały mu prawo. Z niemniejszym także zdziwieniem zaobserwowano, że tenże doktor i t.d. usiadł na krześle w sposób nader zwykły, wykazujący pewne cechy wspólne między nim a najpospolitszym prostaczkiem, i że bez śladu zakłopotania, poprawił sobie cokolwiek przyciasny kołnierzyk, tudzież obciągnął cokolwiek przykrótką kamizelkę. Zauważono wkońcu, że tyle razy wymieniony doktor, członek i t. d., nie dość, że nie otacza szczególniejszą czcią i troskliwością swojej własnej osoby, ale że nadto zakłada nogę na nogę, gładzi brodę i patrzy na obecnych tak obojętnie, jakby zapomniał, że ma przed sobą kwiat towarzystwa powiatowego miasta X., któremu przyjechał złożyć należny hołd i z którego obowiązany był, rozumie się na koszt własny, wywieźć dozgonną towarzyszkę życia.

Ponieważ obserwacje te jak najdokładniej wykazały, że doktor filozofji i t. d. pod krzyżowym ogniem badawczych, pięknych i rozumnych spojrzeń nietylko się nie miesza, ale nawet, założywszy stosowne szkła, sam poczyna oglądać zebranych w sposób niemile drażniący, i ponieważ pod wpływem tych filozoficznych oględzin, miejscowa kawalerja skupiła się jak stado owiec, a miejscowe panny dostały dreszczów, gospodarz postanowił zatem rozpocząć dyskurs. Jakoż, odchrząknawszy z wielką powagą, zwrócił się do doktora filozofji, oparł rękę na kolanie, otworzył usta i... umilkł, jakby mu kto w tej chwili organ wydawania głosu zaszpurował.

Dostrzegłszy zakłopotanie gospodarza, pan Eneas Pirożkiewicz, człowiek niepospolitego oratorskiego talentu, z łysą głową i bardzo wypukłymi oczyma, chcąc podratować sprawę, wystąpił na środek, wyciągnął rękę w kierunku nosa doktora filozofji i t.d., chrząknął z trudnym do wypowiedzenia majestatem i... znowu umilkł.

Na widok tak wymownych manifestacyj, doktor filozofji i t.d. przetarł swoje szkła, poprawił kołnierzyk, obciągnął kamizelkę i... także milczał.

Wówczas, spotniała gospodyni domu, chwytając się ostatniej deski ocalenia, trąciła łokciem panią Salomeę Kopycińską, niewiastę znaną z cnót, rozumu i wielkiej przytomności umysłu, która utrzymywała głośno, że bez znużenia i przerwy mówić może dwadzieścia cztery godzin zrzędu. Na nieszczęście jednak, pani Salomea zdawała się nie domyślać o co chodzi i siedziała tak cicho, jakby w tej uroczystej chwili jakiś złośliwy genjusz zwykle wymowną jej naturę przewrócił na lewą stronę.

— Droga pani Kopyścińska — szeptała omdlewająca gospodyni domu — zacznij co mówić, jeżeli mi dobrze życzysz! Pani tłumaczysz się tak płynnie...

— Na Boga! zwolnijcie mnie od tego, bo dostanę spazmów — odparła napastowana ofiara.

Od tej chwili poczęto się nawzajem do energicznego wystąpienia zachęcać. Pan Pasternakowski

mruwnął na pana Pirożkiewicza, pan Pirożkiewicz uszczypnął pana Dryndulskiego, pan Dryndulski udeptał pana sędzię Dmuchałskiego, skutkiem czego pan Dmuchałski krzyknął, połowa towarzystwa roześmiała się, doktor filozofji i t.d. przetarł znowu szkła i znowu obciągnął kamizelkę, lekarz Kocio uściskał za rączkę pewną młodą, mocno zarumienioną panienkę, i rozmowa zaczęła się na dobre, tak dalece, że ci, którzy dotąd najzawzięciej milczeli, odtąd rozgadali się w sposób niepohamowany.

Po szczęśliwym przełamaniu pierwszych dyplomatycznych lodów — jak mówił znakomity Pirożkiewicz — szanowny i powszechnie ceniony sędzia Dmuchałski, spytał K. Dryndulskiego: w jakim uniwersytecie doktor filozofji i t.d. otrzymał dyplom? i dowiedziawszy się od wesołego lekarza Kocia o jeograficznych szczegółach, dotyczących miasteczka Hajdelberga, przysunął swoje krzesło do krzesła doktora filozofji i t.d., i zwracając się do tego ostatniego, rzekł:

— Hum! pandobrodzieju tego, jeżeli wolno, co też pandobrodziejowi tego najlepiej podobało się w Hajdelbergu, jeżeli wolno?...

— Stary zamek, okolica i wino reńskie — odparł doktor filozofji.

Sędzia Dmuchałski, jak to powiadają, szeroko otworzył gębę, nie tracąc jednak fantazji, dodał:

— Tfu!... A tego, pandobrodzieju, jeżeli wolno, z innych rzeczy co też panu doktorowi... tego pandobrodziejowi?...

— Z innych?... nic! Niemki brzydkie, jedzenie liche... Dalszy ciąg sądowej indagacji przerwała piękna Zosia — zwracając się do bohatera chwili z pytaniem:

— Pan doktor podobno bardzo pięknie deklamuje... Czy nie moglibyśmy prosić?...

Mówiąc to, biedaczka wyglądała tak, jakby ją kłuły z przodu spojrzenia doktora filozofji, z tyłu spojrzenia mamy, z boku spojrzenia sędzię Dmuchałskiego, i jakby wreszcie, skutkiem tak fałszywej pozycji, rada była rzucić się na szyję tyle razy wymienionemu doktorowi i razem z nim lub bez niego wpaść aż pod ziemię...

Wbrew przewidywaniom ogółu, filozof o grubym karku uprzejmię skłonił się napół umarłej paniencie i spytał:

— W jakim guście życzy sobie pani usłyszeć deklamacją?...

— Spytań się mamy!... — odparła przerażona panienska.— Następnie zaś, po zasięgnięciu gdzie należało odpowiednich informacji, wyjaśniła, że ona, jej mama i całe wreszcie towarzystwo życzy sobie usłyszeć coś w guście poetyczno-filozoficznym, z odcieniem postępowo-emancypacyjnym, a nawet zupełnie ateuszowskim, na przypadek, jeżeli pan doktor ten tylko rodzaj filozofji uprawia.

Po tem oświadczeniu członek wielu towarzystw i autor wielu dzieł poprawił szkła na nosie i zaczął:

MEDYTACJA.

Niechaj filozof ustąpi poecie!

Atom materji, krążąc po wszechświecie,

Tworzy ruch, płodzi życie,

Na każdym kroku rozlane obficie.

Natura bytem bezświadomym będąc,

Jak pajak siatkę różnobarwną przędąc,

I nic o tem nie wiedząc,

Co człek odkrywa śledząc,

Na tem tle rosna marzenia,

Na tem tle kwitna natchnienia,

Na tem tle przyjaźń, kochanie,
Witanie i wiekuiste rozstanie.
Muszla, co na stole martwa drzemie,
Pielęgnowała niegdyś ślimaka;
Dziś zmarły ślimak gryzie ziemię...
Gryzie ją całe ludzkie plemię...
Wszystkich nas dola jednaka!...
Mocarzu! który myśląc, żeś jest duży,
Szczęśliwych rodzin spokojność rujnujesz,
Motylu! który sobie przeskakujesz
Na różę z róży...
Dziewico! która na ramię kochanka
Chylisz głowę rozmarzoną,
Młodzieńcze!... który wzdychając do wianka,
Ciśniesz do piersi narzeczoną...
Wy, centofolje! słowiki!
Zielone gaje! szemrzące strumyki!
Wszystkich was zwali śmierci cios,
Bo tak chce los!
Apsik!...

Niewiadomo, czy ten ostatni frazes leżał w intencji autora poetyczno-filozoficznych wierszy, czy stanowił przejście do części drugiej, czy też bardzo zręczne zakończenie, dość, że w tem właśnie miejscu grzmot oklasków zagłuszył zarówno deklamatora, jak i łagodne, stłumione dźwięki pianina. Dodać bowiem winniśmy, że od drugiej strofy począwszy, jedna z dam, posiadających wysoki improwizatorski talent muzyczny, siadła do wymienionego instrumentu i bardzo szczęśliwie akompanjowała deklamacji.

Patrząc na rzeczy z filantropijnego stanowiska, cieszymy się niewymownie, że ta przepyszna girlanda poezji i muzyki przerwała się dość szybko; rozczulenie bowiem obecnych doszło wówczas właśnie do zenitu i mogło spowodować najbardziej opłakane następstwa. Pominąwszy już bowiem, że stara dama (o której wspominaliśmy) z nieodpowiadającym jej wiekowi pośpiechem, już na początku trzeciej strofy opuściła salon, pominąwszy i to, że kilka innych, niemniej podeszłych dam rzewne łzy roniło, trudno przecież nie zauważyć, że poetyczny K. Dryndulski dostał apoplektycznego ataku, że jednej z panienek krew, puściła się nosem, że pokojowy piesek Miluś tak wył przeraźliwie, aż musiano go na podwórze wypędzić, a poważny sędzia Dmuchański zapadł w pewien rodzaj letargu, z którego silne uderzenie w bok ledwie go orzeźwiło nieco. Po upływie jednak kilku minut, chorobliwe symptomata uwielbienia szczęśliwie przeszły, i zaproszono gości na kolację, przy której, ku wielkiemu ukontentowaniu obecnych, między dwoma największemi półmiskami znalazła się i stara wrażliwa dama, jakby dla wynagrodzenia sobie straty, poniesionej w przyjemnościach duchowych.

Z liczby kilkunastu najpiękniejszych a oddawna do filozofji popęd czujących dziewic, wykwinęta Zosia usiadła przy prawym boku doktora i członka, tkliwa Mania przy lewym, a smętna Klocia od frontu, po drugiej stronie stołu. Ponieważ inne dziewice nie mniejsze czuły prawo do zdobywania skarbów wiedzy, i ponieważ okazało się, że doktor filozofji i członek wielu towarzystw posiada jeden tylko front i dwa boki, pozostałe więc wielbicielki gruntownej nauki zajęły miejsce za krzesłem znakomitego gościa w charakterze gospodyń. Rola ta okazała się nader wdzięczną, dawała bowiem tysiące sposobności do zawadzania o ramię, łokieć i kołnierzyk, a nawet brodę doktora,

który, widocznie olśniony taką masą uprzejmości i wdzięków, nie śmiejąc podnieść oczu na swoje piękne towarzyszki, udawał zatopionego w kontemplowaniu wnętrza półmisków i pracowitem wzbogacaniu ich treścią swojej filozoficznej zawartości. Zważywszy, że na zebraniu tak uroczystem nie godziło się poniżyć godności natury ludzkiej nadmiarem rozgrzewających trunków, gospodarz z własnego natchnienia wykluczył z programu kolacji wódkę, piwo i arak, kazał podawać lekką herbatę i dopiero w końcu bankietu własną ręką postawił na stole butelkę oryginalnego czterozłotowego węgrzyna, w którym było nader niewiele pierwiastków denerwujących, a znacznie więcej gumi i cukru, symbolów solidarności między nauką i życiem, tudzież słodocy, z wyższego ukształcenia płynącej. Światły gospodarz, przy rozlewaniu mistycznego nektaru podzielił gości na dwie kategorie, z których pierwsza otrzymała po pół kieliszka płynu z butelki, druga zaś po całym kieliszku ekstraktu z karafki. Gdy te niezbędne przygotowania zostały ukończone, gdy obecni, na wniosek sędziego Dmuchalskiego, powstawszy, zwrócili się obliczami ku miejscu, zajętemu przez doktora filozofji i jego nadobne towarzyszki, i gdy wreszcie stara, zbyt drażliwa dama z wielkim hałasem opuściła swoje krzeselko, wówczas wśród dreszczem przejmującej ciszy, wystąpił na środek z kieliszkiem i serwetą w ręku utalentowany K. Dryndulski i wzruszonym głosem wzniósł następujący

TOAST!

Filozofija to nie marne słowo...
Choćbyś tłukł o ścianę głową,
Gryzł żelazo i kamienie,
Gdy nie dopisze natchnienie,
Nie zostaniesz filozofem,
Na akademicką nie wejdiesz sofę.
Panowie! tu w naszym gronie
Filozoficzny świecznik płonie!
Zróbmy więc mu i sobie cześć,
Chciejmy jego zdrowie wznieść!...

(Wiwat!... — krzyczą obecni bez różnicy płci i wieku; doktor kłania się, a sam sobą zachwycony Dryndulcio ciągnie dalej)

Ty, doktorze znakomity,
Rwij jak dotąd na wiedzy szczyty;
A gdy ci laury uwieńczą skroń,
Znajdziesz między nami dłoń,
Co ci pot z czoła obetrze,
Na drodze pracy podeprze,
Kwieciem życie ozdobi,
Potomstwem...

Tu uciał rozentuzjasmowany wieszcz; okazało się bowiem, że większa część panien ma ochotę stracić przytomność, wstrzymując się jedynie przez wzgląd na zupełny brak odpowiednich i wystarczających środków ratunku. Dzięki pohamowaniu we właściwym czasie poetycznych zapędów wymownego Kajcia, udało się wzruszonym mamom uspokoić rozczulone córki, i w kilka minut

wrócić za innymi do salonu.

Zobopólna rozrywka trwała już niedługo i ograniczyła się na niewinnych grach towarzyskich. Przy sposobności obecni z niewymownym zdziwieniem dostrzegli, że doktor filozofji i autor wielu dzieł gra na fortepianie (wprawdzie jednym tylko palcem), śpiewa i tańczy za fant, jak każdy prosty śmiertelnik, zabawę zaś w kotka i myszkę egzekwuje w sposób wielce ożywiony, który wprawdzie bardzo zachwyca panienki, lecz także wysoce niepokoi ich mamy. Wreszcie, ponieważ północ już za pasem, gospodyni ziewa, a kawalerja poczyną się niepokoić o to, że restauracje mogą być pozamykane, poważny więc sędzia Dmuchalski daje hasło do rozejścia się, ku wielkiemu zmartwieniu kilku bardziej dystygowanych panien, które głośno utrzymują, że dla nich po północy dopiero zaczyna się prawdziwa zabawa.

Już w ostatniej chwili znany z oratorskiego talentu pan Eneas Pirożkiewicz, zwróciwszy się do doktora filozofji i członka wielu towarzystw, rzekł:

— Panie! racz pozwolić, abym dostąpił zaszczytu uściśnięcia prawicy męża, który swoim znakomitym traktatem o bezświadomości posunął naprzód naukę, człowieczeństwu wskazał nowe tory i na miasto nasze zwrócił uwagę całej oświeconej Europy.

— Panie! — odparł skromny filozof — śmiem; pochlebiać sobie, że gdybym ciebie i szanownych zebranych tu znał wcześniej, wówczas poglądy moje na bezświadomość byłyby nierównie zupełniejsze.

Po tych słowach szmer uwielbienia przebiegł całe towarzystwo; wszyscy oddali hołd zarówno świetnej wymowie pana Eneasa Pirożkiewicza, jak i bezstronności znakomitego uczonego, którego nie oślepiły zasługi własne i który umie każdemu przyznać odpowiednią miarę uznania.

Jak widzimy, zadowolenie było obustronne i zupełne.

Jeżeli potężny umysł Diogenesa Fajtaszki potrafił zdobyć się na własny system filozoficzny, to niemniej wzniosła inteligencja szlachetnej Hildegardy umiała wyrobić sobie samodzielne, przez nikogo nienarzucone poglądy na wiele zawiłych. życiowych kwestyj.

Jeden z takich poglądów, ujęty w formę maksymy, brzmiał w sposób następujący: „Człowiek wogóle, a kobieta w szczególności, winna pomagać nietylko sobie, ale nawet naturze.” Maksyma ta, zastosowana w praktyce, wydała jak najświetniejsze rezultaty, z których najmniejszym był ten, że Hildegarda wyglądała zawsze świeżo i okrągło.

Dnia, w którym Dryndulcio zerwał z Fajtusiem, w którym zawiadomił Hildegardę o przybyciu „pewnej liczby filozofów” do hotelu „pod Bykiem,” dnia tego wreszcie, w którym doktor filozofji i członek wielu towarzystw raczył zaszczyścić dom państwa Pasternakowskich własną swoją osobą, maksyma „pomagania naturze” na niesłychaną dotąd stopę praktykowała się w buduarze szlachetnej przyjaciółki szczupłego Diogenesa. Ile tam waty, bielidła i czernidła wyszło w dniu owym, ile zarobili fryzjerzy i perfumiarze, nie do nas należy sądzić; dość, że piękna Hildegarda, jakby pod czarodziejskim dotknięciem pozyskała masę nowych wdzięków do podbijania serc, a przemysł i handel krajowy masę nowych pobudek do pomyślnego rozwoju nadal.

Okolo godziny piątej wieczorem, to jest wówczas, gdy interesująca Hildegarda była jeszcze w pudermantlu, do wykwintnego buduaru wszedł (z zachowaniem wszelkich prawideł etykiety) genialny Fajtuś, z miną wielce zafrasowaną.

— No i cóż? — spytała dama, przylepiając muszkę na brodzie.

— Niestety! Hilciu — westchnął przybyły — oni dziś z Kociem i panem Dryndulskim mają być na wieczorze u Pasternakowskich...

— U Pasternakowskich?... dziś, kiedy ja wieczór wydaję?... Trzeba być niedołągą, żeby ich nie uprzedzić!...

— Słowo honoru, Hilciu...

— Eh! co mi tam po pańskim słowie!... Ja chcę czynów, czynów, panie Fajtaszko, nie słów, rozumiesz?

Twórca własnego filozoficznego systemu utkwiał posępne wejrzenie w nader szczupłych kolanach swoich, jakby pragnął je wezwać na świadectwo zarówno dobrych chęci, jak i niemożności spełnienia żądań pięknej, lecz wymagającej damy, która tymczasem mówiła dalej z niepospolitą energią w głosie:

— Zresztą i cóż mnie wieczór u Pasternakowskich obchodzi?... Uważaj, panie Fajtaszko: dziś, o ósmej najpóźniej, muszę mieć przynajmniej jednego z tych filozofów u siebie, ponieważ zaprosiłam już gości i powiedziałam kogo u mnie zastaną. Czy pan Fajtaszko zrozumiał?...

— Pani chcesz mnie życia pozbawić, okrutna Hildegardo!

— No! no!... znam dobrze te wymówki niedołęstwa.

O ósmej czekam choć jednego z Klinowiczów, a teraz... do widzenia, panie Fajtaszko!

Pan Diogenes wstał, rzucił na piękną okrutnicę spojrzenie takie, jakby już ostatni raz widział ją na naszej planecie, i wyszedł, napełniając buduar, salon i przedpokój ciężkimi Westchnieniami. Znajomi widzieli go, jak od wpół do szóstej krążył około hotelu „pod Bykiem,” następnie po jego podwórzu, a następnie przy drzwiach Nr. 5. Co zaś z tych krążeń wynikło, zobaczymy.

Od zachodu słońca, piękna Hildegarda w nader kwaśnym znajdowała się humorze; zamiast bowiem spodziewanego mnóstwa gości i „pewnej liczby przybyłych z Warszawy doktorów filozofji,” obszerny i gustowny salon jej ozdabiały tylko dwie osoby.

Pierwszą była dama w szanownym wieku, nieustannie oblewająca swoją chustkę, mantylkę i stanik wodą kolońską, pochodzącą z toalety szlachetnej Hildegardy, która to czynność nie przeszkadzała jej lękać się, aby Azorka, z powodu podeszłych lat i przykrej woni, zostawionego w domu, nie pokąsał pies wściekły, tudzież opowiadała o tem, jak ś. p. Ludwik Osiński wsadził ją raz do powozu, jeszcze za jej panięskich czasów.

Drugą osobą, najpoważniejszą w tem zebraniu, był niejaki pan Edgard, mały, szczupły blondynek, najznakomitsza powiatowa zdolność krytyczna. Inteligentny ten młodzieniec, którego żółta bródka przypominała leniwy pierożek, miał zwyczaj podawać znajomym swoim tylko dwa palce, używać przy każdej sposobności wyrazu „błaga” i kiwać od czasu do czasu głową tak, jakby się przed muchami opędzał. Niezależnie od tego, umiał on z trudnym do naśladowania wdziękiem palić, a nadewszystko wkładać do ust i wyjmować (za pomocą dwu powyżej opisanych palców) czterogroszowe cygara; umiał także, wprawdzie surowo lecz bezstronnie, krytykować wszystko i wszystkich, a nadewszystko wierzyć w siebie. W chwilach wolnych od zajęć, pałac cygaro i kiwając głową, chętnie rozmyślał, jak też prędko jego pomarańczowa bródka i wąsiki wraz z cynamonowym paletotem i nienajgrubszymi nożętami, zostaną odlane z wosku i pod imieniem Edgarda I, wespół z odbitką jego niezrównanych prac krytycznych, ustawione w galerji największych genjuszów świata... Kiedy! i któż to zgadnie?... Szczęściem, utalentowany młodzieniec umiał być cierpliwym: oczekując na miejsce w galerji figur woskowych, nie porzucił miejsca w kancelarji pana burmistrza, ani też dla tytułu Edgarda I-go nie wyrzekł się pieszczotliwej nazwy „głupiego Edzia,” jaką mu tkliwa przyjaźń nadała.

— Któż to taki ma być u ciebie, kochana Praksiu? — spytała, już po raz dziesiąty, dama w pewnym wieku, ponętnej Hildegardy.

— Przecież mówiłam pani — odparła cierpko gospodyni — że ma być ten sławny Klinowicz, doktor filozofji... z Warszawy...

— Błaga! — mruknął Edzio, zakreślając w powietrzu bardzo piękny łuk cygarem.

— Sławny doktor?... z Warszawy?... to pewno Chałubiński!.. Nie wiem, czy mogę się pokazać w mojej sukni takiemu gościowi?

— Co pani pleciesz?... Ja przecież mówiłam wyraźnie: Klinowicz, nie Chałubiński.

— Ale widzisz... zawsze to bardzo sławny doktor. Hildegarda ironicznie skrzywiła usta i rzekła:

— Pan Klinowicz nie jest doktorem zwyczajnym, ale doktorem filozofji...

— To on nie zapisuje recept?... Mój Boże! a tak chciałam prosić, żeby mi co pomógł, bo już od roku niedowidzę i chodzić nie mogę. Jaka szkoda, że Chałubiński nie zapisuje recept!

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnała się Hildegarda. — Przecież mówię pani, że to nie Chałubiński, tylko doktor filozofji Klinowicz...

— Aha! więc on zapisuje recepty?

Hildegarda wzruszyła ramionami, a uszczypliwy Edzio wtrącił.

— Doktor filozofji zapisuje recepty, ale tylko przeciw głupocie...

Ten świetny dowcip dziwnie wpłynął na staruszkę, która, pokręciwszy głową i spojrzawszy bystro w oczy znakomitemu krytykowi, odparła:

— Przeciw głupocie — powiadasz pan?... Jakież to szczęście dla pana, że się zejdziesz z takim doktorem!

Jednorazowy ten wysiłek w pracy intelektualnej tak zmęczył staruszkę, że bez względu na groźne mamrotanie Edzia, sparłszy głowę na fotelu, twardo zasnęła.

Za chwilę potem rozdrażniona Hildegarda i najniesłuszniej przez nietaktowną starą damę skropiony pan Edgard usłyszeli jakieś otwieranie, jakieś tupanie i wreszcie następującą rozmowę w przedpokoju:

— Niechże pan doktor będzie łaskaw powiesić futerko tutaj... o tutaj... — mówił Diogenes.

— A czy nie ukradną? — spytał jakiś głos obcy. —: Pan doktor żartuje! tu wszyscy swoi...

— Aha!... No, w każdym razie łatwiej będzie znaleźć... Zaledwie poważna dama, dzięki połączonym usiłowaniom

Hildegardy i Edzia, została rozbudzona, drzwi od przedpokoju otworzyły się i ujrzano w nich jakiegoś nieznanego młodzieńca w towarzystwie pana Diogenesa Fajtaszko, który, wystąpiwszy na środek, rzekł:

— Pan Klinowicz, doktor filozofji, członek wielu towarzystw zagranicznych, autor wielu dzieł...

Obecni, powstawszy, skłonili się, gość także; poczem zajęto miejsca dokoła stołu.

— Szanowny brat pana doktora bawi obecnie na wieczorze? — spytała przybyłego gospodyni domu.

Doktor filozofji oparł rękę na stole, głowę na rękę i milczał, widocznie pogrążony w głębokich filozoficznych spekulacjach. Staruszka wpatrywała się w niego jak w tęczę.

— Słyszeliśmy, że brat szanownego pana doktora spędza dziś mile wieczór w domu państwa Pasternakowskich?... — spytał tym razem Edzio, sądząc, że jego interwencja wywoła natychmiastową odpowiedź.

Doktor filozofji nagle podniósł głowę, włożył w usta wielki palec i, oparłszy na nim zęby, milczał.

— Genjusz ludzkości! — szepnęła Hildegarda z rozkoszą, patrząc w półprzymknięte oczy gościa.

— Uniwersalny umysł! — odpowiedział również szeptem Diogenes.

— Błaga! — mruknął Edzio.

Starą damę zniecierpliwilo milczenie przybyłego — zebrawszy więc cały zasób odwagi, spytała:

— Pan konsyljarz dobrodziej...

— Co?... — przerwał goić, rzucając nagle głowę wtył jak lew przebudzony.

— Nic! nic!... — zawołała przerażona staruszka, podnosząc do nosa chustkę, zmaczaną w kolońskiej wodzie.

Doktor filozofji znowu oparł czoło na dłoni i milczał.

— Przepyszny! — szepnęła Hildegarda. — Panie Fajtaszko... wdzięczność do śmierci...

— Na pierwszy rzut oka poznałem niepospolity umysł — odparł Diogenes, czule ściskając paluszek nadobnej swojej przyjaciółki.

W tej chwili zamyślony doktor filozofji podniósł znowu głowę i patrząc w sufit, rzekł z pośpiechem:

— Tu... musi być dużo złodziei...

Obecni spojrzeli po sobie, a Diogenes spytał:

— Pan doktor pyta o ogólny stan moralności naszej okolicy, czy też...

— Jeżeli o moralność chodzi — przerwał Edzio — w takim razie ja mogę służyć informacjami. W roku bieobecącym mieliśmy w mieście trzydzieści kradzieży, dwa podpalenia, pięć usiłowań gwałtu, z których trzy tylko były uwieńczone...

— Panie Edgardzie! — szepnęła z wymówką cnotliwa Hildegarda.

— Proszę państwa do kolacji — rzekła nagle służąca, kładąc tym sposobem kres dalszemu ciągowi danych statystycznych, ku wielkiemu niezadowoleniu Edzia.

W końcu kolacji, która ciągnęła się parę godzin, ponieważ zarówno stara dama, jak szczupły Edzio i niemniej szczupły Fajtuś okazywali dużo uwielbienia dla kuchni pięknej Hildegardy, a przy której to kolacji uroczą gospodyni domu własną rączką nakładała podwójne porcje swemu znakomitemu gościowi, milczący dotąd doktor filozofji począł się niespokojnie kręcić i wzdychać...

— Pan doktor potrzebuje czegoś? — spytała Hildegarda.

— Spokojności! — odparł pogrążony w myślach filozof.

— Spokojności i papieru? — Rozumiem!... Panie Fajtaszko, bądź łaskaw zapalić świecę... Pan doktor chce pisać... Sądzę, że mój buduar będzie najwłaściwszy, tam bowiem znajdzie pan wszystkie rzeczy potrzebne.

Doktor filozofji kiwnął głową i za chwilę wprowadzony został do buduaru przez samą gospodynię, która z całą elegancją wypełniwszy to zadanie, rozpromieniona wróciła do salonu, mówiąc:

— Panie Fajtaszko, przyjacielu mój, składam ci stokrotne dzięki!... Ten znakomity człowiek niezawodnie coś szczytnego spłodzi w moim domu...

— Najniezawodniej! — odparł równie zachwycony Diogenes.

— Jeżeli nie blaguje — dodał Edzio.

— Jaki on roztargniony! — dziwiła się stara dama.

— Jak zwykle genjusz — rzekła Hildegarda.

— W chwili poczęcia wielkiej myśli — uzupełnił Dyncio.

— Doprawdy, panie Diogenesie — rzekła tkliwie Hildegarda — dopiero porównywając pana z nim, przekonałam się, jak dalece wszyscy ludzie znakomici są do siebie podobni, i jak chlubić się powinnam, mając przyjaciela w panu!...

— Pani! — odparł Fajtuś — szczycę się twoją przyjaźnią, a porównanie, które słyszałem, dumą mi serce przepelnia... Aczkolwiek — dodał, wzdychając — wiem, że nie godzien nawet rozwiązać rzemyka u sabotów nowego naszego przyjaciela.

— Ciekawam jednak, co on tam robi?... — spytała nagle stara dama, nie rozumiejąca widocznie, ile słodczy mieści się w tych zobopólnych wywnętrzeniach dusz tkliwych i szlachetnych.

Piękna Hildegarda, figlarnie pogroziwszy obecnym, lekko jak niebiańskie widziadło,

podskoczyła ku drzwiom buduaru i spojrzała przez dziurkę od klucza.

— Ciemno!... — rzekła z najwyższym zdumieniem. Obok niej stanął Diogenes i uchylił drzwi.

— Ciemno!... — powtórzył.

Usłyszawszy to, sarkastyczny Edzio wziął lampę do ręki, a za chwilę całe towarzystwo znalazło się w buduarze pięknej kobiety.

Przy biurku nie było nikogo; we framudze okna także nie było nikogo; zato jednak, osłonięty kotarą przed okiem profanów, chrapał ktoś na łóżku uroczej dziewczyny.

— Tego już chyba za wiele! — szepnęła Hilcia.

— Co za ekscentryczność! — dziwił się Dyncio.

— Błaga! — mruknął Edzio.

W tej chwili kotara poruszyła się gwałtownie, a obecni usłyszeli poza nią jakiś stłumiony głos, mruczący:

— Widocznie złodzieje... trzeba się mieć na baczności!...

— Lunatyk, albo blagier — szeptał Edzio.

— Wyjdźmy stąd — rzekła Hildegarda.

— Gdy się obudzi, najniezawodniej przeprosi nas — upewniał Fajtuś, cofając się ostrożnie.

Kotara poruszyła się jeszcze gwałtowniej, obecni cofnęli się jeszcze prędzej, a głos gniewnie zawołał:

— Złodzieje! zbrodniarze!... gdzie mój rewolwer?... Przysięgam, że co najmniej sześciu trupem położę!...

Jednocześnie usłyszano w buduarze łoskot... Edzio postawił lampę na stole i nagle znikł w jego okolicach.

Diogenes rzucił się do układania nut na fortepianie i przepadł gdzieś; piękna Hildegarda i podeszła dama chciały usiąść na kanapie, lecz także znikły. W ciągu jednej sekundy zdawało się, że w salonie niema żywej istoty, oprócz doktora filozofji, który z pałajacemi oczyma i zaciśniętymi pięściami chodził szybko po środku i mruczał:

— Gdzie ten Czesław?... Zostawił rzeczy bez dozoru i wszystko djabli wzięli. Ha!...

Nagle drzwi od przedpokoju otworzyły się i wszedł lekarz Kocio z nieodstępnym K. Dryndulskim (po lewej stronie).

— Co ty tu robisz? — zawołał Kocio do rozdrażnionego filozofa.

— Nic... Trochę spałem, ale złodzieje obudzili mnie... Łby porozbijam!... Dlaczego Czesław spać nie przychodzi?... Dlaczego się po nocach wałęsa?...

— No, no! — odparł lekarz. — Czesław cię prosi, żebyś ty przyszedł do niego; pan Dryndulski odprowadzi cię.

— Lubię te nocne spacery — mruknął doktor filozofji, i znacznie już uspokojony, opuścił salon... na zawsze!...

— Kto go tu sprowadził, panie Diogenesie? — spytał Kocio, spoglądając pod fortepian.

— Ja, kochany panie, na żądanie pani Hildegardy... — odparł drżący Diogenes, wynurzając się nagle z cieniów fortepianu i tkliwie ściskając rękę lekarza. — Milcz! na Boga — dodał ciszej.

— Szczególny doktor filozofji! — zawołał energicznie Edzio, ukazując się obok stołu, który go dotąd bardzo dokładnie zasłaniał.

— Panie Edmundzie!... panie Diogenesie, podajcie nam ręce!... — zawołała kanapa na dwa niewieście głosy, a za chwilę potem w salonie zjawiała się jakby z pod ziemi piękna Hildegarda w towarzystwie mocno przerażonej staruszki.

— Ach! doktorze! — mówiła ponętna pani gospodyni. — Wyobraź sobie... mężczyzna na mojem

łóżku!... Och!... On jest widocznie chwilami nieprzytomny?

— To z nadmiaru pracy umysłowej... — objaśnił Diogenes, znowu ściskając lekarza za rękę.

— Ale czy miewa chwile przytomne? — spytała znowu Hildegarda.

— O, nader często! — odparł znowu Fajtuś, jeszcze czulej ściskając Kocia.

— Jakież ekscentryczny, ach, Boże!...

— Nie zapominaj pani — mówił rozgorączkowany Diogenes — że każdy wielki człowiek ma podobne chwile nie... niejasności. Newton, sam Newton wyczyścił raz fajkę paluszkami pięknej osiemnastoletniej panienki...

— Czyż podobna?...

— Najniezawodniej!... A... a... ktoś inny na proszonym obiedzie palcami brał szpinak z półmiska...

— Okropność!... Ciekawam, kiedy pisze swoje znakomite dzieła filozoficzne: czy wtedy, kiedy jest przytomny, czy też...

— Rozmaicie, to zależy od treści — odpowiedział lekarz.

Po tem ostatnim wyjaśnieniu, Kocio pożegnał towarzystwo i wyszedł. Usłużny Diogenes nie mógł powstrzymać się od odprowadzenia go ze świecą aż do bramy.

— Ciekawy jestem — rzekł lekarz w trakcie wędrówki — po jakiego djabła wyprowadziłeś pan z hotelu człowieka obłąkanego?... Czesław zły, myśmy się zlatali, wy powłaziliście pod kanapy i fortepiany...

— Ach! doktorze — odparł Diogenes — gdybyś choć wiedział, ile mnie ta baba namęczyła! Plotkarz Dryndulski szepnął jej, że przyjechało kilku Klinowiczów, doktorów filozofji, którzy chcą ją poznać, i wyobraź sobie, że ta stara czarownica cały dzień mi głowę suszyła, abym jej przynajmniej jednego sprowadził. Ha! myślę, trudno!... Chcesz Klinowicza, to ci go dam, a nie moja w tem wina, jeżeli będzie miał trochę więcej wody w głowie, niż inni ludzie.

— Cóż, kiedyż wesele? — spytał lekarz, stojąc już w bramie.

— Dziś powiedziała mi, że jeżeli jej na wieczór sprowadzę Klinowicza, to za miesiąc... Ale... ale! Zmiłuj się, doktorze, wpływ na Dryndulskiego, ażeby się nie wygadał!...

— Bądź pan spokojny! — odparł lekarz i znikł na ulicy.

W kilka dni potem, Kocio, wróciwszy wieczorem do siebie, zastał dwa listy, w których było, co następuje:

I.

Szanowny Doktorze, najlepszy nasz przyjacielu!

We czwartek o godzinie 8-ej wieczór, w mieszkaniu panny Hildegardy... odbędzie się obrzęd zaręczyn moich z tą niezrównaną kobietą. Ani na chwilę nie wątpimy, że zechcesz, drogi przyjacielu, zaszczycić jako świadek swoją obecnością ten uroczysty akt, na którym oprócz Ciebie, kochanego Dryndulsia i paru innych życzliwych nam osób, nikogo więcej nie będzie.

Twój do śmierci *D. Fajtaszko*.

II.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Po wprowadzeniu w nasz Dom mniemanego Filozofji Doktora, t. j. po niewłaściwym z Jego, jak również z W-go K. Dryndulskiego strony żarcie, dalsza bytność Takowych w Domu naszym zdaje się być nie na miejscu.

Z głębokiem uszanowaniem *Pasternakowski*.

Odczytawszy to, Kocio spojrział na zegarek i szybko wybiegł do miasta, gdzie, w pewnym znajomym sobie handelku win i korzeni miał nadzieję spotkać pana Pasternakowskiego, dla którego ani na chwilę nie przestał pielęgnować w sercu swem głębokiego szacunku. Przeczucia nie omyliły go; we wskazanem bowiem miejscu istotnie zastał obrażonego przyjaciela, który nad jakąś zapleśniałą butelczyną głęboko rozmyślał widocznie o marnościach świata.

— Panie Pasternakowski — zaczął lekarz — dziwię się...

— Aaa... kochany Kocio!... — przerwał interpelowany. — Chcesz mówić o liście?... Głupstwo! zapomnij o nim, choć co prawda, splataliście mi figła. Całe miasto śmieje się ze mnie!

— Ależ panie...

— Posłuchaj... nie przerywaj! Powiem tylko dwa słowa. Obiecałeś przyprowadzić nam uczonego i autora, a nadewszystko filozofa całą gębą, a przyprowadziłeś nam coś... ni to, ni owo. Zapytano go o Hajdelberg, a on mówił o winie i Niemkach; jadł sobie (czego mu bynajmniej nie wymawiam) jak parobek, tańczył jak studencik, deklamował... i tak dalej, i tak dalej... Co mi to za filozof? Ten, który był u panny Hildegardy, o to mi dopiero człek! Milczący, zamyślony, statysta... Rozmawiał tylko o oświacie i moralności, potem zażądał papieru, atramentu, piór, osobnego pokoju i coś tam podobno bardzo znakomitego napisał...

— Ależ panie! ten, który był u panny Hildegardy, popełnił kilka rzeczy bardzo ekscentrycznych!

— O to właśnie! w to mi graj! My wszyscy czekaliśmy, żeby ten twój filozof zrobił także coś ekscentrycznego, ale gdzie tam... on nawet nie wie, jak wygląda ekscentryczność!... Jeżeli ci zaś mam teraz prawdę powiedzieć, to się moje panie całkiem, ale to całkiem do filozofji zniechęciły. No, ale co tam! napij się lampeczkę, jeżeli mnie kochasz, a na drugi raz nie rób z nami, jak Wilkoński z tym trębaczem, co to udawał Lucjana Bonapartego... Pamiętasz?

— Ależ panie, daję słowo uczciwego człowieka, że Czesław Klinowicz jest najrzeczywistszym doktorem filozofji i autorem wielu dzieł...

— Wierzę, domyślałem się tego na pierwszy rzut oka, ale co chcesz z kobietami? Dla nich człowiek bez powierzchowności, bez tego, co nazywają paszportem, nie znaczy nic. To tylko dla nas, głębiej patrzących na rzeczy, sam tytuł wystarcza!...

Przygotowano na podstawie bookini.pl